ROZMAITOŚCI.

Dnia 17. Września. № 38. Roku 1856.

SAMOBÓJCZYNI.

Podanie gminne z XVI wieku.

Powieść mojej babki.

I.

WIDMO.

Już od godzin kilku prządki robocze przy świetle smolnych szczepek snuły na wartkich kołowrotkach cieńkie przędziwo — już się w dużych saganach dla licznej czeladzi posilne dogotowywało śniadanie — już ogromne kłody dębowe w starodawnych grubych piecach, przez noc całą palone, dogorywały przecie — już się dzień bielił, kiedy panna łowczanka krakowska Małgorzata w swoim obszernym, dość jak na owe czasy ozdobnym dworze, jeszcze na swem wygodnem spoczywała łożu.

Była ona właścicielką dziedziczną tego dworu i włości do niego należącej, inne bowiem z dość zamożnych imion rodzicielskich dostały się były w spadku jej braciom. Cała ta rodzina mieszkała w Sandomierskiem. Wieś łowczanki, niegdyś będąca cząstką ogromnego Firlejów majątku, jeszcze miała niektóre zabytki okazałości i dostatków tego domu, nieco smutnie w dziejach naszych a nawet w gminnej piosnce sławnego. Położenie jej było górzyste i leśne, niemniej mieściła w sobie wiele z tego, co i oko bawić, i korzyści rolnicze przynosić może. Łowczanka smakująca w gospodarstwie wiejskiem, rada mieszkała na wsi: miała dworskich życzliwych i wiernych, miała dobrych sąsiadów i zgodne z nimi stosunki. Dotąd niezamężna, niewiadomo z jakich powodów, bo młodą była jeszcze i przystojną wcale; chciała więc podobno zrobić wybór rozważny, do czego pospiech nie służy.

Pokój sypialny, czyli komnatę łowczanki odznaczała niża czyli alkowa, piękną ozdobiona zasłoną z tureckiej półjedwabnej materyi, przy której po brzegach i u dołu szlak był szeroki. Sznurki jedwabno-złociste z kutasami, podnosząc ją w potrzebie, piękną kształciły draperyę. Nikt nie sypiał w pokoju Małgorzaty, okno zawarowane kratą i bliski pokój panien służących zabezpieczały dostatecznie, a nikt nie zawołany wnijść nie śmiał.

Pewnego ranku w końcu listopada jakoś, podług powieści mej babki, właśnie kiedy jak się wyżej mówiło, dłuższego łowczanka zażywała wczasu, czekając aż się lepiej jej komnata ogrzeje, cicho tymczasem w łóżku odmawiając pacierze, z jednej z komórek po bokach niży będących, mającej jedno tylko wejście, bez skrzypnienia drzwiami nawet, weszła jakaś płci żeńskiej osoba, i stanęła w nogach jej łóżka. Postać ta miała w sobie coś nadludzkiego: Wzrost, kibić, wdzięki tak kształtne, tak zachwycające, a razem tak delikatne i nikłe, jakich nie widać w śmiertelnych, najpiękniejszych niewiastach. Jakaś równie nikła i delikatna czarna zasłona przezroczysta cała i do pajęczej podobna tkaniny, okrywała ją od głowy aż do ziemi, nie cieniąc jej szat i kształtów. To piękne widmo, całe drżące stało w milczeniu w ułożeniu skromnem i uległem, jakoby oczekując rozkazów. Widok jego na wstępie nie przestraszył łowczanki, sądziła, iż widzi jednę z swych panien służących, i to ją tylko zdziwiło, że przyszła niezawołana, ale przypatrzywszy się z większem zastanowieniem, nie małą uczuła trwogę, którą jednak kryjąc starownie, odezwała się do przybyłej osoby zwykłemi pobożnych przodków naszych słowami: „Wszelki duch chwali pana Boga!“

„I ja go chwalę“ — odpowiedział głosek pełen harmonijnego dźwięku, lubo drzący jak postać cała.

„Ktoż jesteś, i czego chcesz odemnie?“ — zapytała znowu łowczanka.

„Jestem panna Floryanna, przybywam służyć pani.“

„Ależ ja usług waszcinych nie potrzebuję, mam moje pokojowe.“

„To nic nie szkodzi“ — odparło piękne widmo — „ja zdam się na usługi pani. Będę służyć darmo; nie potrzebuję niczego.“

Wymówiło to z godnością a razem tak grzecznie i w tak ujmującym sposobie, iż Małgorzata nie sprzeciwiając się jej więcej, zadumana nad okolicznością tak szczególną i niepojętą, jakby oczarowana, pozwoliła jej podać sobie strój ranny, wstała z łóżka w milczeniu, i wyszła do kobiet swoich, które zdziwiła niemało, będąc bez ich pomocy zupełnie już ubraną.

Cała jeszcze przejęta otrzymanem wrażeniem łowczanka, długo do nikogo przemówić nie mogła, i nie uważała tego nawet, jak gdzieś tymczasem zuiknęła panna Floryanna z pokoju. Wreszcie możeby była Małgorzata cały ten wypadek za senne poczytała wrażenie, gdyby ponawiane następnie częste zjawienia podobne nie zmusiły ją do uwierzenia, że rzeczywiście ma dodaną sobie jakąś istotę nieziemską, z którą jak z swym cieniem rozstać się nie może. Poruczywszy się tedy niebu i dobrych duchów opiece, poddała się odważnie temu dziwnemu przeznaczeniu.

II.

DZIWY W OGRODZIE.

Spodziewając się u siebie Małgorzata gości dnia tego, obróciła pewną część ranku na wydawanie rozkazów potrzebnych do ich przyjęcia, oprócz tego ona jako rzadna gospodyni zwykle w chwile poranne chetnie się oddawała domowym zatrudnieniom. Tego dnia chcąc przynieść rozrywkę skłopotanym myślom i wybić sobie niejako z głowy otrzymane przykre wrażenie, udała się do ogrodu na spacer. Ogród jej nie przedstawiał już nic powabnego w tej porze, ogołocony z kwiatów, owoców i liści; ale był rozległy, szpalery w nim wyniosłe, a w nich ulice czyste i suche, wysypane żwirem różnobarwnym, wygodnej użyczały przechadzki, a gęste altany wypoczynku. Powietrze się też wyjaśniło, gdy mgła opadła.

Kiedy się długo przechadzała w myślach zanurzona łowczanka, usłyszała razem z jednej altany nad kanałem leżącej, głos niewieści miły i tkliwy niezmiernie, co się rozchodził po kanale, i z powiewem łagodnego wiatru doszedł jej uszu. W tym głosie było coś tak rzewnego, tak poruszającego, że Małgorzata która dotąd nic podobnego nie słyszała w piosnkach służących swoich, stanęła zadumana na chwilę, poczem postąpiła z cicha kroków kilka bliżej, aby się lepiej przysłuchać.

Wtem jęk żałośny, jakby łabędzie pienie, przerwał dalszą pieśni osnowę. Łowczanka nie mogąca onej zrozumieć, a wzruszona jękiem spiewaczki, bieży ku owej altanie, a wtem nagle nad nią czarne gromadzą się chmury, które straszliwe wydają błyskawice i gromy, wichr się zrywa ogromny, chyli z trzaskiem gałęzie, i zdaje się chcieć wykorzenić niebotyczne topele, olchy i brzozy okoliczne. W pośród tego łoskotu i takiej burzy, co zdawała się chcieć pogrążyć całą naturę w odmęt pierwotny, liczne stado kruków unaszając się nad altaną, swemi dzikiemi wrzaski bardziej jeszcze powiększało okropność tego widowiska; już nie słychać głosu nieszczęśliwej w altanie, ucichł do reszty. Małgorzata przerażona ucieka ztamtąd w trwodze największej, i przybiega do swoich pokoi. Dziwi każdego swoją przelękłą twarzą i do nikogo zrazu przemówić nie zdolna, pada osłabiona na krzesło. Po niejakiej nakoniec chwili, zapytuje służących swoich, czy uważali tę burzę srogą? Patrzą na nią z niespokojnością, zapewniając: że bez przerwy najpiękniejsza panuje dziś pogoda. Omamiona do reszty biedna łowczanka, wstydząc sie wyznać przed swoimi domowymi, co ją spotkało w ogrodzie, utaiła swe pomieszanie, i kazała przygotować dla siebie wszystko do ubierania.

III.

GOTOWALNIA ŁOWCZANKI.

W pokoju najbliższym sypialnego ubierała się zwykle Małgorzata. Pokój ten, acz pewnie nie z tak wytworną ozdobiony elegancyą jak gabinety dzisiejsze, miał niemniej swoje do owoczesnych zwyczajów stosowne ozdoby. Szczupły jego czworogran umieścił w sobie wszystko, co do wygody i kształtu potrzebnem być mogło. Posadzka dębowa, w drobne kawałeczki wielkości cegieł układana, piec z polewanej nakształt porcelany gliny, na nim figurki błękitne, a wierzchu gzyms w korony i gałki. Ściany takimże wykładane materyałem, łatwe do oczyszczenia wilgotną chustą, zawsze równym świeciły blaskiem. Krepa błękitna w adamaszkowe wyrabiana wzory, okrywała obszerne i wygodne krzesła, których tam wiele stanąć nie mogło. W samem oknie, głęboką mającem framugę, stał ołtarz tej małej świątyni — gotowalnia łowczanki. Duży stół czarno pokostowany, na czterech okrągłych, wężowato toczonych

nogach wsparty, okryty był aż do ziemi prawie pięknym kobiercem. Na tym na kitajce błękitnej zasłany muślin biały, nieco gęsty i nieprzezroczysty ale pracowicie i suto wyszywany szydełkiem i marselowemi robotkami, garnirowany dokoła szeroką falbaną, wydawał się dość okazale. Na środku tego tak przystrojonego stołu stało zwierciadło w wąskie srebrne ramy oprawne, trochę więcej niż pół łokcia wysokie, w kształcie gotyckich drzwi lub okien, które moda w dzisiejszym świecie odnawia. Resztę stołu okrywały to tacki srebrne, to poduszka aksamitna, srebrną opasana skówką, skrzyneczki z kanakami, sprzążkami z topazu i dychsztynu i nakoniec kształtna drapaczka. Dwa wielkie obrazy malowane olejno znajdowały się nad oknem i nad drzwiami tego pokoju. Myśl artysty, co je malował, odpowiadała zwyczajowi dawnemu wybierania przedmiotów, stosownych do miejsca, w którem się znajdować miało malowidło, i oznaczania onego jakim z pisma ś. wyjątkiem: i tak nad gotowalnią łowczanki była piękna Ester w pośród okazałego Aswera dworu, strojna w różne bogactwa wschodu, a obok tego pokorna, skromna i zalecona szczególnemi duszy przymioty. Nad drzwiami obraz drugi przedstawiał z ewangelii pięć mądrych panien, wychodzących z zapalonemi lampami. W jednym kącie pokoju stała szafka czarno pokostowana w guście laków chińskich, a na niej żółtemi farbami odmalowany pożar miasta okazałego z podpisem łacińskim: Sic transit gloria mundi.

W takim to pokoju zasiadła ubierać się łowczanka, zamyślona ciągle. Dwie panny służące stanęły o parę kroków od niej, czekając na rozkazy. Wydawała je z roztargnieniem widocznem, co sprawiło, że zapomniała nawet pobrać na siebie ozdób niektórych do stroju. Utrefiono jej tylko włosy, i suknię na nią włożono; z tem usiadła przed zwierciadłem i kazała odejść swym pannom, co gdy nastąpiło, spojrzawszy się od niechcenia do zwierciadła Małgorzata, spostrzegła tuż przy sobie stojącą pannę Floryannę. Zmieszana tym widokiem na nowo, i niechętna szczerze, chciała to przywołać nazad służące, to połajać widmo nareszcie za natręctwo takie, ale kiedy na nią spojrzała, taką w jej pięknej twarzy ujrzała smętność, wzrok tak błagający litości, że nie miała serca ofuknąć się na nią i zamilkła. Floryanna również milcząca dobyła kilka pudełeczek, z których wyjmując najpiękniejsze, lubo dawnym kształtem oprawiane klejnoty i perły, przyozdobiła najświetniej niemi łowczankę.

Trudnoby było opisać nowe zdumienie Małgorzaty na widok bogactw takich. Stan jej był osobliwszym. Nie mogła gardzić tak szacownemi ozdobami, widziała w zwierciedle, jak jej w nich było pięknie, ale gubiła się w dochodzeniach, zkądby pochodzić mogły. Czy nie kradzione? czy nie dar to duchów ciemności? Na tę myśl okropną zgroza ją przejęła, i już wszystko pozrzucać z siebie chciała. Uklękła przed nią zgadująca myśl jej Floryanna, złożyła ręce pobożnie, i wzniosła oczy do nieba; poczem rękę na sercu położywszy, uspokoiła tem strwożoną łowczankę, i wzbudziła w niej uszanowanie niejakie ku sobie. Tak to ludzi i najlepszych mamią dostatki okazałe, i cześć ich odbierają mimowolna.

„Wstań Waszmość, Miłościwa panno moja“ — rzekła do niej łowczanka. — „Mnieby raczej uklęknąć przed waszmością wypadało, o cudotworna niezbadana istoto! Powiedz proszę kto jesteś? Wyprowadź mię z niepokoju tego! Powiedz w jakim celu jawisz sie u mnie, czem zasłużyłam na twe względy, czy znałaś mię kiedy?“

„Od kolebki.“

„Przebóg wszak wydajesz się młodszą odemnie?“

„Ja zawsze taka“ — odpowiedziała z westchnieniem najczulszem, a większa jeszcze smętność rozlała się po jej pięknej twarzy.

Na tem się skończyła ich krótka rozmowa. Łowczanka nie śmiała nic mówić służacym swoim, kiedy się jej kosztownym strojom dziwiły, nie widząc tego zupełnie, jak się koło nich blisko przemknęło widmo, i gdzieś znikło. Oddana uczuciom najsprzeczniejszym wyszła Małgorzata do osobnego pokoju krzepić znowu umysł skołatany wzywaniem nieba pomocy.

IV.

DZIWY U STOŁU.

Między dziesiątą a jedenastą przedpołudniową godziną pozjeżdżali się do łowczanki goście z sąsiedztwa na obiad. Dziś zdawałoby się trochę za rano nam, którzy opoźniamy coraz obiadowe godziny, w owych zaś czasach przodkowie nasi, równo ze słońca wschodem w lecie opuszczający swe łoże, już koło siódmej z rana posilnego potrzebowali śniadania, a koło południa obiadu, w zimie tylko opoźniając nieco to wszystko. Przyjęła wszyst-

*

kich z zwykłą swą gościnnością łowczanka, i nakarmiła hojnie. Kuchmistrz jej dnia tego dał potraw tylko dwanaście, bo osób dwadzieścia cztery było właśnie u stołu. Były tam w zupie figatele, i smacznych kondymentów dosyć, w czem obojgu podług powszechnego zdania celował kuchmistrz Małgorzaty.

Już kończono obiad, przydłużony niezmiernie, już wypróżniono Węgrzyna i Małmazyi flasz kilka; gładziej płynęły grzeczne offerty i komplementa do ludzkiej obracane gospodyni, o której rzadkich zaletach coraz głośniejsze spiewano pochwały, gdy wtem jedna z sąsiadek w podeszłym wieku, jakby nasłana dla zakłócenia i zamieszania przyjemności tej uczty, zwróciła uwagę swoją i całego biesiadującego grona na świetne i kosztowne stroje łowczanki, które od przybycia swego pożerała oczyma. Zaczęła się dziwić onym, nakoniec i wynosić je pod niebiosa głośno. Z tych pochwał przeszła do ścisłych badań: gdzie, i od kogo i po jakiej kupowane cenie? Niemało tem zakłopotała Małgorzatę, która nadaremnie do czego innego odwrócić chciała rozmowę. Nielitościwa sędzina jakgdyby się uwzięła dokuczyć koniecznie łowczance, powstała z miejsca swego, i zbliżyła się do niej mówiąc:

„Bez urazy zacna łowczanko! Pozwól dawnej słudze zaspokoić ciekawość godziwą, bliższem przyjrzeniem się tak drogim skarbom.“

Wszystkich oczy zwróciły się na dwie działające osoby, wielu cieszyło się skrycie, że stara znawczyni objaśni tym sposobem każdego najdokładniej o rzeczywistej tych klejnotów wartości. Ale o dziwo! raptem nikną jedne po drugich wszystkie kanaki z łowczanki. Ubior tylko z włosów i odzież, jaką miała, pozostają na niej jedynie. Tak ogołocona, gniewna, pomieszana, porywa się od stołu a z nią wszyscy goście, nie wiedząc sami, czy im śmiać się czy trwożyć trzeba na widok tak osobliwej sztuki kuglarskiej.

Ale łowczanka oswojona już nieco z dziwami od poranku, prędko odzyskała przytomność i spokojność pozorną. Wnet ona domyśliła się komu przypadek ten przypisać, tem bardziej że obejrzawszy się nieznacznie, spostrzegła sprawczynię onego Floryannę, zachmurzoną wyraźnie, że się ktoś poważył chcieć oglądać dane od niej klejnoty. Ustraszona tem Małgorzata dochowała jej tajemnicy, a nie widząc innego sposobu oczyszczenia się w oczach swych gości i przywrócenia przerwanej na czas dobrej myśli, tak ich zatrudniła jakąś zabawną rozmową, że w owej materyi przemówić już nie mieli ani czasu ani śmiałości. Nie mniej jednak w umysłach wielu pozostało ztąd nienajkorzystniejsze o niej mniemanie, szczególniej u sędziny, która wróciwszy do siebie, często i długo rozmawiała o tem, trzęsąc głową, i wzdychając pobożnie. (D. n.)

POWIEŚCI HENRYKA CONSCIENCE.

Ciemna Rózia.

(Dokończenie.)

I pożegnawszy mieszkańców chaty, szedł Jan coprędzej za chłopięciem, zmierzając ku środku wsi. Gdy nadeszli ku pierwszym chatom, powychodzili wszyscy wieśniacy z stajen i stodół, i zdziwionemi oczyma patrzyli na nieznajomego przybysza. Nie mogli poczciwi ludzie pojąć, jakim sposobem mały Piotruś przyszedł do takiej poufałości z podróżnym, który im się wydawał przynajmniej jakimś kupcem bogatym, a który tak mile rozmawiał z uradowanem dziecięciem. Zdziwienie ich doszło do najwyższego stopnia, gdy w ich oczach nieznajomy schylił się do chłopczyny, i uściskał go serdecznie. Niektórzy wpadli zaraz na domysł, iż pan nieznajomy zapewne kupił sobie chłopczynę od rodziców, aby go wychować jak własne dziecko. Słyszeli bowiem nieraz, że bogaci mieszkańcy miast przybierają cudze dzieci za swoje, jeśli ich Pan Bóg nie pobłogosławi własnemi. Był też mały Piotruś o swoich błękitnych oczach i jasnych kędzierzawych włosach w istocie najładniejszym chłopczyną w całej wsi. I tylko to już dziwiło, dlaczego nieznajomy brał go z sobą w jednej koszulce, bez żadnych zresztą sukienek.

Jan Slaets szedł tymczasem spiesznym krokiem w głąb wsi. Jakże odmienną barwą przystroiło się teraz wszystko w jego oczach! Cała wieś wydała mu się w tej chwili opromienioną jakiemś niebiańskiem światłem, drzewa zachwycały go swoją prześliczną zielonością, powietrze balsamiczną poiło wonią, a niskie chaty wieśniacze jakimś uroczym przymilały mu się uśmiechem.

Oddany swoim rzewnym, błogim uczuciom, nie zważał już Jan Slaets na małego Piotrusia, i wpatrzył się bystro w las, który u drugiego końca wsi zdawał się zamykać drogę.

Nagle szarpnął go chłopczyna za rękę.

„Patrz pan! Patrz pan!“ — zawołał radośnie. — „Oto Rózia z Tereską.“

I okazała się rzeczywiście na zakręcie małej uliczki wiejskiej jakaś ciemna kobieta w podeszłym wieku, prowadzona za rękę przez małą pięcioletnią dziewczynkę.

Zamiast przyspieszyć kroku, stanął nasz przybysz nagle jak wryty, spoglądając z boleścią na biedną ślepą kobietę, która powolnym krokiem zbliżała się ku niemu. Byłażto jego Rózia kochana, owa piękna, zachwycająca dziewczyna, której obraz uroczy tkwił mu tak żywo w sercu i pamięci?

Rozmyślania te trwały tylko przez krótką chwilę. Wnet otrząsł się z nich Jan Slaets, a pociągając za sobą chłopczynę, biegł żywo naprzeciw dawnej kochance. Zbliżywszy się do niej o jakie piędziesiąt kroków, nie mógł już wstrzymać się dłużej, i zawołał drżącym z radości głosem: „Róziu! Róziu!“

Na dźwięk tego głosu puściła ciemna kobieta rękę swojej przewodniczki, i zaczęła drzeć jak w febrze. Potem wyciągnęła naprzód ramiona, i z wykrzykiem „Janie! Janie!“ rzuciła się w stronę, zkąd pierwszy głos ją doleciał. W biegu wyjęła jeszcze mały złoty krzyżyk z zanadrza, i podnosząc go w górę, upadła w ramiona dawnego kochanka.

Jan Slaets chciał wśród niezrozumiałych wykrzyków wycisnąć pocałunek na jej ustach, lecz Rózia odepchnęła go zlekka, i zawołała:

„Janie! Janie! Umrę od szczęścia!... Uczyniłam ślub Bogu. Pojdź ze mną, prowadź mnie na cmentarz.“

Jan Slaets nie zrozumiał tej mowy, lecz uroczysty ton jej głosu zniewolił go do posłuszeństwa.

Nie zważając tedy na tłum wieśniaków, który otoczył ich dokoła, porwał kochankę za rękę, i pospieszył wraz z nią na cmentarz.

Przed kamienną ławką, obok drewnianego krzyża u wnijścia, zatrzymała się Rózia, i zmuszając Jana Slaets do uklęknięcia obok siebie, zawołała:

„Módl się, módl się! Ślubowałam to Bogu!“

I wzniosłszy ręce ku niebu, modliła się przez kilka chwil. Potem objęła ramionami szyję kochanka, i uściskała go z takiem wzruszeniem, iż postradała siły, a głowa jej spadła bezwładnie na pierś uszczęśliwionego Jana.

Podczas tej całej sceny, tańczył mały Piotruś w około zgromadzonych wieśniaków, i klaskając w dłonie, wołał raz po raz:

„To długi Jan! To długi Jan!“

EPILOG.

W prześliczny dzień jesienny roku 1846 pędził jak zwyczajnie stary wóz pocztowy kamienistym gościńcem z Anvers do Turnhout. Przed pewną samotną gospodą zatrzymał konduktor konie, i rozwarł drzwiczki powozu. Dwaj młodzi podróżni wyskoczyli wesoło na gościniec, i zaczęli przeciągać ramiona jak owe ptaki, które po długiej niewoli po raz pierwszy probują skrzydeł w wolnem powietrzu. Obadwaj spoglądali z zachwyceniem na żółknącą już zieleń drzew i pól i czysty i jasny błękit nieba, co pewnym było znakiem, że dopiero niedawno opuścili miasto. Z pełnej też piersi oddechali świeżem powietrzem wiejskiem, jakgdyby chcieli zespolić się z tą wspaniałą i orzeźwiającą przyrodą, która zewsząd ich otaczała. Nagle młodszy z dwóch podróżnych wytężył uważnie wzrok w jedną stronę, i zawołał z wyrazem jakiegoś poetycznego zachwytu w twarzy:

„Słuchaj! słuchaj!“

Pomieszane dźwięki jakiejś dalekiej muzyki doszły zza gaiku jodłowego uszu podróżnych. Byłyto tony skoczne i wesołe, i mogłeś nawet rozróżnić kadencye tańcu.

Młodszy podróżny wyciągnął rękę w tę stronę, i w niemem zatrzymał się zachwyceniu.

„Pojdźmy Janie“ — rzekł na to starszy. — „Nie zachwycajże się lada drobnostką! To zapewne muzyka na cześć instalacyi nowego wójta.“

„O, nie są to uroczystości urzędowe! Pójdźmy tam! Co za przyjemność przypatrywać się tańcom z szczerej, serdecznej ochoty.“

„Wstąpmy pierwej na szklankę piwa do ojca Jostens, a dowiemy się, co się tam dzieje we wsi.“

„Dowiemy się naprzód, aby się pozbawić uroku niespodzianki. Nieprawdaż?“

Po tych słowach weszli do gospody. Zaledwie jednak wstąpiwszy na próg, parsknęli głośnym śmiechem.

Czcigodny Piotr Jostens stał przy kominie wyprostowany jak świeca, sztywny jak drogoskaz. Długa fałdzista kapota świąteczna, błękitnej barwy i najdziwaczniejszego kroju, osłaniała jego poważną postać po same pięty. Na widok niespodziewanych gości, znajomych mu już z dawna, uśmiechnął się z przymusem i niejakiem zakłopotaniem, lecz nie śmiał ruszyć się z miejsca, i nie uchylił głowy ani na włosek, bo sztywnie wykrochmalone kołnierzyki łokciowe krajały mu niemiłosiernie uszy za każdem poruszeniem.

Właśnie gdy nasi podróżni wstępowali do izby, ojciec Jostens nie wychodząc w niczem z swojej wykrygowanej postawy, wołał z widoczna niecierpliwością:

„Zanno! Zanno! Słyszę już muzykę. Nie mówiłżem ci, iż się spoźnimy. Pójdźże już na miłość Boga!“

Zanna wbiegła do izby z ogromnym koszykiem kwiatów. Ładna bez świątecznych przyborów, wyglądała ona jeszcze ładniej w swoim małym szlareczkowym czepeczku, w wełnianej spodniczce i różowym gorsecikn o dużem złocistem sercu na piersiach, i z połyskującemi kolcami w uszach. Zaczerwieniona z radości, podobną była Zanna do najpiekniejszego ze swoich kwiatów, który niby czarodziejską siłą rozrósł się w kształty olbrzymie, i właśnie w tej chwili w całej rozwinął się wspaniałości.

„Co za piękna i okazała piwonia, całym blaskiem wiosny świecąca!“ — szepnął młodszy podróżny.

Zanna postawiła tymczasem piwo przed gośćmi, i spiesznie wybiegła z izby.

Ojciec Jostens zawołał z większą jeszcze niecierpliwością:

„Elżbieto! jeśli nie wybierzesz się natychmiast, pójdę sam, jak mi Bóg miły!“

Stary zegar ścienny uderzył w tej chwili dziewiątą godzinę, a chrypliwy głos kukułki powtarzał za każdem uderzeniem monotonny swój spiew.

„Coż to znowu?“ — zapytał jeden z podróżnych. — „Czy sprzedałeś swój piękny zegar, który nie dawno wisiał w tem miejscu, ojcze Jostens! Wszak ten ohydny ptak zagłuszy cię swoim spiewem chrypliwym.“

„Proszę nie natrząsać się z tego ptaka, moi panowie! On mi przynosi rocznie pięćdziesiąt reńskich holenderskich czystego zysku. Jest to dla mnie pole intratne, nie potrzebujące ani nakładu, ani uprawy.“

Tu ozwały się nagle cztery wystrzały z moździerzy.

„Dla Boga!“ — zawołał biedny Jostens w rozpaczy. — „Uroczystość już się zaczęła! Moja żona przywiedzie mię do ostateczności swojem guzdralstwem!“

„Lecz coż się tu dzieje właściwie, ojcze Jostens?“ — zapytał starszy z podróżnych. — „Czy to odpust u was, pomimo czwartku? Czy spodziewacie się króla?“

„O, to osobliwsza uroczystość!“ — odparł Jostens. — „Nikt nie słyszał o czemś podobnem. Gdybyście znali tę historyę, nie potrzebowalibyście uganiać się za zmyśleniami, aby zapełnić wasze książki. A i ta kukułka ma pewne znaczenie w tej historyi, w historyi o ciemnej Rózi.“

„Ciemna Rózia!“ — zawołał młodszy podróżny. — „Co za wyborny tytuł. Mógłby stanąć obok *Młodego chorego Cheniera.*“

„Oho! nie przystępuj tak skoro do dzieła, mój drogi!“ — zawołał starszy towarzysz. — „Wyjechaliśmy szukać w s p ó l n i e przedmiotu do powieści, powinniśmy się dzielić sumiennie.“

„Dobrze, dobrze! Pociągniem zaraz słomki. Dłuższa wygrywa“ — odparł młodzieniec.

„Ale oprócz tytułu, nic a nic nie wiemy!“ — rzekł starszy podróżny. — „Zrzućże ojcze Jostens ten brzydki kołnierzyk z szyi, i opowiedz nam tę historyę po przyjacielsku. Dostaniesz zato książkę o Rózi w darze, skoro ją napiszemy i wydrukujem.“

„Nie mogę w żaden sposób uczynić to w tym momencie. Oto schodzi już żona ze schodów. Lecz pójdźcie z nami do wsi, a opowiem panom przez droge, dlaczego gra dziś muzyka, i strzelają z moździerzy....“

Weszła wtem gospodyni w trudnym do opisania stroju, którego jaskrawość barw olśniła na pierwsze wejrzenie młodego podróżnego.

Przybiegłszy zadyszana do małżonka, podniosła mu jeszcze wyżej kołnierzyki nakrochmalone, i pociągnęła z sobą ku drzwiom.

Obadwaj podróżni przyłączyli się do nich. Piotr Jostens opowiedział im przez drogę całą historyę ślepej Rózi i długiego Jana.

Opowiedział im także jak pan Jan Slaets kupił od niego stary zegar z kukułką, i obiecał mu pięćdziesiąt reńskich rocznie, jeśli go zawiesi na dawnem miejscu w gospodzie — dalej jak długi Jan bawiąc przez trzydzieście cztery lat w Rossyi, dorobił się ogromnego majątku handlem futrami — jak kupił przyległy folwark po zmarłej niedawno dziedziczce, i sprowadził się tam z Rózią i rodziną Nelisa, którego wszystkie dzieci przybrał za swoje własne — jak obdarzył hojnie swojego dawnego rywala Wawrzyńca i — jak wreście sprawia dziś wielki festyn dla wieśniaków, na który upieczono całe cielę, i ugotowano dwa ogromne kotły ryżu na mleku.

Wśród tych opowiadań przybyła nasza drużyna do głównej ulicy wsi. Lecz tu przestali słuchać go już podróżni, a oczy ich nie mogły się nasycić widokiem, który im się nagle przedstawił.

Cała wieś była uroczyście przystrojoną. Wzdłuż wybielonych domów ciągnęły się długie wieńce z gałęzi jodłowych, spojonych z so-

ba przepysznemi girlandami i bukietami kwiatów. Tuowdzie powiewały nad głowami widzów wielkie litery czerwone i różne inne ozdoby. Jedną stronę gościńca zasadzono najpiękniejszem kwieciem polnem, z którego też uformowano olbrzymie cyfry Jezusa i Maryi. W jednem miejscu jaśniały litery JR splecione z sobą, co miało oznaczać Jan-Rózia. Nauczyciel wiejski był autorem tego dowcipnego pomysłu.

Po drodze stały tłumy wieśniaków, przybyłych z pobliskich wsi na wspaniałą uroczystość zaślubin ciemnej Rózi.

Młodzi podróżni biegali od jednego grona do drugiego, przysłuchując się rozmowom zdumionych wieśniaków. Gdy jednak ujrzeli pochód ślubny, zbliżający się już do wsi, wskoczyli obadwaj na mały wzgórek, aby żaden szczegół tej uroczystości nie uszedł ich oka. I przedstawiała ona rzeczywiście widowisko tak piękne i rozrzewniające, iż serce młodszego podróżnego zakołotało żywiej, a oko rozpromieniło się poetycznem zachwyceniem.

Na czele całego pochodu kroczyło około pięćdziesiąt małych dziewcząt, najwięcej dziesięcioletnich, w białych sukienkach, z uśmiechem dziecięcej niewinności na twarzy podobnych do owych białych chmurek, co podczas pogody krążą po błękicie niebios. Dokoła rozpuszczonych włosów miały wszystkie wieńce z róż, które współzawodniczyły z świeżością ich ustek purpurowych.

„To jedna z fantastycznych powiastek Andersena!“ — szepnął młody poeta. — „Niewinność, czystość, młodość, skojarzone z wesołością! Cożto za uroczy widok!“

„Ah! Ah!“ — rzekł drugi. — „Otoż i piwonie, a Zanna Jostens na ich czele!“

Młody poeta był nazbyt rozczulony, aby zwrócić uwagę na ten prozaiczny żart przyjaciela. Spoglądał w niemym zachwycie na orszak młodych dziewic, który postępował za dziećmi, a był niejako uosobieniem życia i zdrowia. Prześlicznie też wyglądały twarzyczki dziewcząt, otoczone dokoła szlareczkami czepeczków. Jakaż zachwycająca przebijała się w nich skromność! A ten uśmiech czarowny, który igrał na koralowych ustach, to jak owe kręgi na tle jeziora, kiedy buja po niem swawolny wietrzyk.

Lecz otoż i Rózia i pan młody Jan Slaets. Jakże szczęśliwą musi być w tej chwili biedna ciemna kobieta! Tyleż bo — i przez lat tyle cierpiała! Żebrząc na kawałek chleba, przepędziła trzydzieście cztery lat w ciężkiej niedoli, pozbawiona wszelkiej prawie nadziei.... a oto dziś znajduje się u boku kochanka pierwszej młodości. Wsparta na jego ramieniu, idzie przed ołtarz Boga, który ją wysłuchał, idzie spełnić ślub przed laty na cmentarzu uczyniony, idzie poślubić tak gorąco kochanego Jana. Drząc na całem ciele pod natłokiem wezbranych uczuć, ściska nieboga ramię narzeczonego, jakgdyby się obawiała, aby to wszystko nie zamieniło się w sen lub złudzenie.

Tuż za nią kroczy Nelis z żoną i z dziećmi. Cała rodzina ma na sobie odzież świąteczną, znamionującą dostatek i zamożność. Oboje małżonkowie pochylili głowy, i ocierają łzy za każdem spojrzeniem na swoich dobroczyńców. Mały Piotruś zadarł głowę w górę, i prowadzi z dumą obie siostrzyczki.

Lecz coż to za orszak posuwa się zwolna za nimi. To szczątki jakiejś armii, rozbitej i wyniszczonej mieczem czasu. Dwudziestu starców sunie za dziećmi Nelisa. Dziwne widowisko! Wszystkie głowy — łyse lub siwe, wielu starców pochyliło się do samej prawie ziemi, większa część idzie tylko przy pomocy kija, a dwaj wspierają się na kulach. Jeden z nich jest ciemny i głuchy, wszyscy zaś tak pogarbieni, tak znękani wiekiem i pracą, że można ich było wziąć za jakiś orszak ofiar, pędzonych przez śmierć samą do grobu.

Na czele całego orszaku kroczy Wawrzyniec Stewens, z tyłu szedł ślepy i głuchy Joris z gospody pod znakiem Pługa, prowadzony za rekę przez dziada młynarza. Tylkoż ci starcy pamiętali owe dnie dawne, w których Jan Slaets był pierwszym śmiałkiem we wsi, kiedy wszyscy musieli szanować jego odwagę i korzyć się przed jego dumą młodzieńczą.

W tyle za starcami szli tłumem mieszkańcy wsi, mężczyźni i kobiety, zaproszeni na gody weselne.

Cały orszak wszedł nareszcie do kościoła, zkąd ozwały się zaraz uroczyste tony organów.

Młody poeta zaprowadził towarzysza na cmentarz. Tu schylił on się na ziemię, i odwróciwszy się nieco w bok, nadstawił przyjacielowi rękę zamkniętą, z której wyglądały dwa równe koniuszki uszczkniętej trawki.

„Już! Tak ci pilno?“ — rzekł starszy towarzysz.

„Prędzej, prędzej, ten przedmiot zapala mię, chciałbym wiedzieć, czy będę miał prawo napisać powieść.“

Starszy pociągnął milcząc. Młodszy spojrzał na swoją trawkę, i opuścił ją z bolesnem westchnieniem.

„Przegrałem!“

Takimto sposobem stało się, kochany czytelniku, iż starszy z tych dwóch podróżnych opowiedział ci historyę o ciemnej Rózi! Szkoda! otrzymałeś ją w prozie. Gdyby los rozstrzygnął był inaczej, czytałbyś ją wierszem prześlicznym. Może inną razą lepiej ci się poszczęści.

Słownictwo kryminalne. Była już nieraz mowa o zebraniu wyrazów zagadkowych, jakiemi zwyczajnie porozumiewają się złodzieje. Jeden z najsłynniejszych powieściarzów francuskich podał przed kilkunastu latami próbkę języka rzezimieszków paryskich. Niedawno wyszła w Niemczech osobna książka dla urzędników policyi, zawierająca słowniczek takiegoż języka w miastach niemieckich. Za przykładem owego francuskiego romansopisarza próbowano także w niektórych powieściach polskich, obeznać publiczność z podobnym sposobem porozumiewania się w języku polskim. Nie byłoby tedy od rzeczy dowiedzieć się, jak dawnego czasu sięga ten język złodziejski, i o ile on odmienił się z latami. W tym zaś celu warto przypomnieć sobie pewien artykulik *Gazety Warszawskiej* zprzed lat blisko ośmiudziesięciu, pod kilkorakim ciekawy względem. Najprzód, wyczytujemy z niego, iż przed laty ośmiudziesięciu — jak niegdyś powszechnie w średnich wiekach, i jak jeszcze podziśdzień w Anglii — można było za kradzież ukaranym być „śmiercią na szubienicy“. Powtóre, zamieszcza on wiadomość, jakoby dopiero wspomnieni w nim łotrzykowie „uformowali“ język, o którym mowa. Znajduje się ten artykuł w *Gazecie Warszawskiej* z dnia 30 grudnia roku 1778, w nr. 104, i opiewa dosłownie: „Z Warszawy 30 grudnia. W przeszłym tygodniu nastąpiła exekucya z dekretu sądów marszałkowskich kor. *ultimae instantiae* niejakiego Tomasza *K.* rodem z *Niepołomic*, który za wielokrotne popełnione kradzieże, śmiercią na szubienicy ukarany został; inni zaś *complices* w jego społeczeństwie będący, więzieniem na wiele lat, i do robot publicznych są osadzeni. Z indagacyi zaś tychże kryminalistów sąd uwiadomiony został, iż dla utajenia swych zamysłów, uformowali język jedynie sobie zrozumiany, który dla wiadomości każdego podaje się. Pieniądze nazywały się *łakomce*, czerwone złote *opaleńce*, kieszeń *dolina*, ręka *sięgawka* albo też *grabki*, moneta biała *rudniki*, *rusony*, bielizna *pajęczyna*, chusta *filucha*, pałka *szumowisko*, głowa *makówka*, nogi *ogary*, wół *rogi*, stróż *chmura*, chleb *sumer*. Gdy który z nich powiedział *buchnął*, znaczyło że ukradł; gdy powiedział *zajął*, znaczyło że uderzył, i tam dalej. A tak gdy powiedziano: *Buchnął łakomce z doliny*, znaczyło, ukradł pieniądze z kieszeni. Gdy powiedziano: *Zajął szumowiskiem po ligarach* albo *po makówce*, znaczyło: że uderzył pałką po nogach albo po głowie. Gdy rzeczono: *Zmiotł pajęczynę*, znaczyło: ukradł bieliznę i tam dalej.“

Skarbiec sułtański w Konstantynopolu, zbudowany za czasów Amurata IV, jest najwspanialszym pomnikiem przepychu i wytworności, jakie w szesnastem i siedmnastem stoleciu panowały na dworze Ottomańskim. Jego bogactwa i całe urządzenie wewnętrzne wprowadzają w prawdziwe zdumienie, i przewyższają najśmielszą wyobraźnię. Z wierzchu i wewnątrz wykładane są ściany skarbcu lśniącemi płytami fajansu, który pod nazwą *Kachi* bywa wyrabiany w najpiękniejszych i najlepszych gatunkach w perskim mieście *Kachan*. Wszystkie skrzynie, drzwi i ramy u okien są z drzewa cyprysowego, ozdobione przecudnemi arabeskami z szyldkretu, kości słoniowej i perłowej macicy. Sklepienie kopuły okrywają złociste rzeźby na dnie czerwonem, a miejsce nad dywanem zdobią malowidła tak drobne i misterne, iż na pierwsze wejrzenie możnaby je wziąć za jakąś arcykunsztowną mozaikę. Aż do zeszłego roku spoczywały wszystkie skarby sułtańskie w ogromnych skrzyniach, ustawionych rzędem w piwnicy, zbudowanej w stylu bizanckim. Dopiero na wieść o przejeździe cesarza Napoleona przez Stambuł w drodze do Krymu, rozkazał sułtan przyrządzić w osobnej sali wystawę najosobliwszych kosztowności swojego skarbcu, i pozwolił zwiedzić ją wielu znakomitym cudzoziemcom. Ze wszystkich zgromadzonych tam skarbów zasługuje na największą uwagę tron Kei-Kaousa sułtana z Koniah (r. 1245). Jestto krzesło z szczerego srebra z tysiącem misternych rzeźb i ozdób, na wzór starożytnych tronów perskich, których wizerunek zachował się w starych rękopismach. Obicie jest z ciężkiego złotogłowu, poduszki z czerwonego aksamitu, przetykanego perłami i drogiemi kamieniami. Tuż obok tronu widać puklerz i szablę, które służyły niegdyś sułtanowi Amuratowi IV, gdy z wielkim tryumfem powracał do stolicy z wyprawy perskiej. Oba te przedmioty olśniają oczy blaskiem brylantów i złota. Zaraz przy nich leży mała skrzyneczka, w której podczas wszystkich wypraw sułtana Solimana znajdowała się jego książka do nabożeństwa. Wieko tej skrzyneczki wysadzone jest mnogiemi klejnotami, miedzy któremi celuje turkus w kształcie migdała dwu calowej grubości, i mało co mniej szeroki. U węzła sznurka, na którym wisiała zwykle skrzyneczka, przymocowany jest smaragd wielkości kurzego jaja. W innej opodal stojącej szafie wystawione są czaple pióropusze, kilku sułtanów. Smaragdy, rubiny, dyamenty, któremi przymocowywano je do turbanów, dochodzą bajecznej prawie wielkości, a możnaby śmiało powiedzieć, iż bardzo mało znajduje się klejnotów w Europie, któreby mogły się równać z temi kosztownościami dawnych sułtanów rodziny Osmana. Lecz nie podobna wyliczać tu wszystkie bogactwa skarbcu i opisywać je poszczególnie. Napomkniemy jedynie na zakończenie o licznym zbiorze przepysznych waz chińskich, bogatych materyi starożytnych, rozmaitych sztuk zbroi z drogiego kruszcu, przeróżnej broni nowoczesnej i wielkiej ilości starych zegarów, otrzymanych niegdyś w upominkach od różnych władzców Europy.

Przypowieści. — Gospodarz ma wiedzieć o polu, o gumnie i o stajni; gospodyni powinna wiedzieć o kuchni i o piwnicy.

Gdzie cię radzi widzą, tam nie często bywaj, a gdzie nie radzi, tam nigdy.

Gdzie brat hardy a chleb twardy, a ktemu piwnica na kołku, ciężka tam bieda chudemu pacbołku.

Grzegorz! — Czegoż? — A pojdźże robić! — O! nie mogę chodzić. — A pojdźże jeść! — Toć muszę poleść.

Kiedy niedźwiedzia uderzy gałąź, tedy mruknie, a kiedy drzewo przywali, tedy milczy.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.